

ZASKAKUJĄCY DEBIUT KRYMINALNY!

AGNIESZKA JEŹ

SZANIEC SZANIEC

DO MNIE NALEŻY POMSTA,
JA WYMIERZĘ ZAPŁATĘ

SZANIEC

AGNIESZKA JEŻ

SZANIEC

Text copyright © by Agnieszka Jeż-Kaflik, 2020
Copyright © by Burda Media Polska Sp. z o.o., 2020
02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15
Dział handlowy: tel. 22 360 38 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 37 77

Redaktor prowadzący: Marcin Kicki
Redakcja: Agnieszka Szmatoła/Słowne Babki
Korekta: Ewelina Pawlak, Lena Marciniak-Cąkała/Słowne Babki
Skład i łamanie: TYPO Marek Ugorowski
Projekt okładki: Pola i Daniel Rusiłowiczowie/KAV Studio
Zdjęcia na okładce: Arun Clarke/unsplash, Rejzert/unsplash, Jason Wong/unsplash

ISBN: 978-83-8053-786-6

Druk: Abedik SA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

www.burdaksiazki.pl

PROLOG

Wydawało mu się, że usłyszał pukanie. Wiele rzeczy mu się ostatnio wydawało. Nie tak sobie wyobrażał pobyt tutaj. Ekskluzywnie, drogo, ekscytująco, zajrzeć w głąb siebie... Tak, dostawał tutaj to wszystko, ale dwa pierwsze punkty już w życiu przerabiał i znał lepsze ich wersje, „ekscytująco” – cóż, to też się zdarzało i do tej pory nic tego nie przebiło, choć szukał zamienników, próbował zwalczać pokusy, Pan przecież to wie... „Bóg mi świadkiem”, mógłby tak powiedzieć, przysiąc na to. „Zajrzeć w głąb siebie”. To akurat potraktował jak chwyt marketingowy. Niesłusznie, bo i tego zaczynał doświadczać, a lepiej, żeby to, co mu się ukazywało, pozostało w tej głębi.

Znowu ten sam dźwięk. Dwa rytmiczne stuknięcia, jak poprzednio. Zawahał się. To było nieoczekiwane i wbrew regulaminowi. „Żadnych wizyt w pokojach innych gości”, co akurat mu odpowiadało. Gdyby coś się stało lub gdyby dostali nowe, nieoczekiwane zadanie, skontaktowano by się z nim przez interkom. Więc to nikt z obsługi, tylko ktoś z grupy.

Zawahał się. Był już w pizamie, zaraz miał się położyć do łóżka.

„Może to coś ważnego?”, pomyślał. On przecież był w pracy dwadzieścia cztery godziny na dobę, taką służbę sobie wybrał. Ale tu, w tym miejscu? Kto wiedział, czym on się zajmuje? Wszyscy występowali w Szańcu *incognito*. Ociosani z przeszłości do tu i teraz.

Pukanie powtórzyło się trzeci raz.

Mógłby udać, że nie słyszy. Mury są tu grube, drzwi solidne, a pora – snu.

Postanowił jednak, że otworzy; trochę z poczucia obowiązku, trochę z ciekawości.

Przekręcił zamek w drzwiach, nacisnął klamkę i lekko uchylił ciężkie drzwi. Chodziły bezgłośnie. Wszystko tutaj było takie płynne, naoliwione, niezostawiające śladów i nierobiące hałasu.

W delikatnej poświacie korytarza dostrzegł jakąś postać. Przez chwilę miał problem z rozpoznaniem, który to z gości. Nie włożył okularów, a ta osoba stanęła tak, że jedyne źródło światła miała za plecami. Ciemną sylwetkę na wysokości głowy okalał słaby blask żarówki – w nocy fotokomórka uruchamiała światło oszczędniej. Gość wyglądał jak w aureoli. „Jaki zawód, takie skojarzenia”, pomyślał i uśmiechnął się do siebie. Niepokój się ulotnił.

– Mogę wejść? – Usłyszał głos i rozpoznał jego właściciela. Lekko się zdziwił; nie tak by obstawiał, ale kto wie, jakimi ścieżkami Pan prowadzi?

– Tak – odparł i odsunął się, wpuszczając gościa do pokoju.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale to nagła potrzeba... Potrzeba spowiedzi.

Więc jednak. Nikt nic o nikim nie wie, a i tak nie udało się tego utrzymać w tajemnicy. Może coś się zdradził?... Ale czym, jak? Może to po prostu widać, tak jak da się przypisać ludziom zawody na podstawie ich wyglądu, ubrania, zachowania. Zresztą nieważne, później o to zapyta. Teraz wyznanie win.

– Siądźmy. – Wykonał dłonią gest zapraszający do zajęcia miejsca na krześle przy niedużym stole.

Zobaczył, że zostawił na blacie pudełko z lekami, jego prywatny „dawkometr zdrowia”, jak je nazywał. Wziął pojemnik do ręki i przełożył na stolik. Przy okazji przekręcił klosz lampki nocnej; była ustawiona tak, by oświetlać pokój, nie łóżko, bo nie lubił górnego światła. Wiedział jednak, że spowiadający się potrzebują skryć się w cieniu, a teraz jego gość siedział jak na przesłuchaniu. Widział takie sceny na filmach; nic przyjemnego, zdecydowanie by nie chciał w nich uczestniczyć. Oczywiście w rzeczywistości to wygląda inaczej, zwłaszcza wtedy, gdy wiadomo, że rozmowa z funkcjonariuszem będzie pierwszym i ostatnim etapem sprawy. Mimo wszystko – lepiej unikać. Jemu się udało. Ciekawe, co się nie udało gościowi.

– Ksiądz się dziwi mojej wizycie? – Usłyszał, gdy dogiął giętkie ramię lampy, kierując snop światła na poduszkę.

– Nie. To znaczy samej spowiedzi nie, może temu, że się wydało, że jestem księdzem. Mówię „wydało”, jakby to był powód do wstydu. – Odwrócił się i uśmiechnął.

Odpowiedział mu także uśmiech.

Ostatnio spowiadał coraz rzadziej. Wydawało mu się, że nie odczuje tego braku, a jednak – czuł się trochę jakby zredukowany. Prowadzenie bliźnich przez kręte ścieżki, żeby doszli do Pana, taka była szczytna idea jego pracy. Ferowanie wyroków, nakazywanie kar; to też było pokaźne. Zwykle konfesjonał skutecznie odgraniczał go od penitenta. *Sacrum* i *profanum* się nie mieszało, grzech po jednej stronie, zbawienie – po drugiej. Jasno wyznaczone role.

Usiadł na krześle naprzeciwko.

– Proszę – zachęcił. Nie muszą iść w standardowe formułki, rozumiał także, że wyznanie grzechu nie jest łatwe, ale nie będą tak przecież siedzieć całą noc. Nie jest już młody, organizm dopomina się o swoje. Ostatnio, mimo że to urlop, nie czuł się najlepiej. Kiedy turnus się skończy, pójdzie do Szuby. Trzeba będzie pokombinować z lekami, może dać inne, a może dawki zmienić?... Nie zamierzał tak łatwo oddać pola starości.

– Patrzysz na mnie...

– Mogę sięść bokiem, jak przy kratce. – Obrócił się barkiem.

– Nie! – Protest był niespodziewanie gwałtowny. – Nie – powtórzono już spokojniej.

Chwila ciszy.

– Patrzysz na mnie, ale nie daj się zwieść temu, co widzisz.

W pierwszej chwili nie zrozumiał. W drugiej zresztą także nie.

– Nie rozumiem – powiedział więc. – Ale jeśli chodzi ci o to, że mógłbym cię oceniać czy potępiać...

– To nie ja do ciebie przychodzę, tylko ten mały skrzywdzony chłopiec, który stracił wszystko w jednym momencie.

Zimny dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie. Spojrzył przez stół. Przypomniała mu się ta kartka. Nie, to niemożliwe, nie w tym wypadku. A może to gra? Kolejne dziwaczne zadanie? Podpucha? Takie „sprawdzam i może coś złowię”? Oni mają tu niezły wywiad, zresztą właściciel to zgrywus. Tak, na pewno go podpuścił.

– Nieładnie, nieładnie! – Pogroził palcem. – Prawie się nabrałem. – Pokazał w uśmiechu mocne żółtawe zęby.

Ale jego gość już się nie uśmiechał.

– Przecież wiesz. Wiesz i się zastanawiasz: jak to, ofiara przychodzi się wypowiadać? – Głos był opanowany i pewny siebie.

Znowu go zmroziło. Poczul nieprzyjemny ucisk w gardle. Nie, to nie był żart. Teraz już zrozumiał, wszystko mu się ułożyło w głowie. Kto by pomyślał... Odchrząknął, ale nic nie powiedział. Chwilowe przerażenie ustąpiło gruntowanej przez lata rutynie. Pozwleka jeszcze, weźmie na przeczekanie, to zawsze się sprawdza.

– Nie, będzie odwrotnie, to ja wypowiadam ciębie. Tyle lat... No, nie patrz w ten sposób, przecież pamiętasz. Na pewno wracasz do tych wspomnień, co?

– Ja... – Wreszcie postanowił się odezwać. Utnie to, zakończy, wyprosi za drzwi. Nie musi tego słuchać. Nie powinien, nie chce. Nic na niego nie ma. Nikt nic na niego nie ma. Ta sprawa jest dawno zamknięta. Definitywnie. – Nie wiem, o co chodzi. Nie zrobiłem nic złego, a teraz... – Podniósł się z krzesła.

– Zapierasz się? Będziesz jak Piotr Apostoł? Nie zapieraj się, nie ma po co, wszystko zostanie między nami. Dla ciebie kogut już nie zapieje.

Zrobiło mu się słabo. Jeszcze nie rozumiał, w jaki sposób został zdemaskowany, ale już miał pewność, że go mają, ucapili go. I że tym razem trudno będzie się z tego wywinąć.

„Dla ciebie kogut nie zapieje”.

Lecz on zaprzeczył temu wobec wszystkich i rzekł: „Nie wiem, co mówisz”. A gdy wyszedł ku bramie, zauważyła go inna i rzekła do tych, co tam byli: „Ten był z Jezusem Nazarejczykiem”. I znowu zaprzeczył pod przysięgą: „Nie znam tego Człowieka”. Po chwili ci, którzy tam stali, zbliżyli się i rzekli do Piotra: „Na pewno i ty jesteś jednym z nich, bo i twoja mowa cię zdradza”. Wtedy począł się zaklinać i przysięgać: „Nie znam tego Człowieka”. I w tej chwili kogut zapiał.*

* (Mt 26, 31–35. 57–75), Biblia Tysiąclecia.

To był moment. Wstał, żeby zakończyć tę rozmowę, żeby już nie powtarzać po raz kolejny: „Nie wiem, o co chodzi”. Chciał otworzyć drzwi, wyprosić gościa i zostać sam. A rano, po śniadaniu, ewentualnie opracować jakiś plan obrony. Może przerwać ten głupi urlop i zaszyć się w pałacu. Coś się wymyśli. Coś zawsze się wymyślało.

Ukłucie było delikatne, jak ucięcie komara. Cienka igła na chwilę zagłębiła się w jego udzie, nacisk tłoka wepchnął w jego ciało jakiś płyn.

Przestraszył się, z nerwów zakłuło go w piersiach, aż przysiadł na łóżku.

Nie działo się nic, ale przecież sobie tego nie wyobraził.

Patrzyli na siebie bez słowa.

– Poczekał z tobą – Usłyszał.

„Na co?“, pomyślał. Obrócił się do okna. Za szybą była czerni, nieprzenikniona ciemność. „Do świtu jeszcze kilka godzin. Kilka godzin, nim kogut zapieje. Absurd, absurd!“, zbuntował się nagle. Chciał się podnieść i załatwić to inaczej.

Nagle już nie tylko za oknem zapanował smolisty mrok.

Wziął ostatni oddech.

I umarł.

ROZDZIAŁ 1

Znowu ją widziała. Za każdym razem, gdy jechała na interwencję domową, widziała swoją matkę. Te wszystkie kobiety były do siebie tak podobne: za dużo źle rozsmarowanego fluidu, który miał ukryć sińce, włosy przysłaniające pobitą twarz, mocno zaczesane grzywki, maskujące potłuczenia, w upalne lato koszule z długimi rękawami, zakrywające szramy, spódnice do pół łydki, żeby nie było widać czerwonych ran na nogach, okulary przeciwsłoneczne bez względu na stopień zachmurzenia, bo obwódki pod oczami długo się utrzymywały.

Dzwoniły, gdy udało im się wyrwać z jego łap między kopniakami lub rzucaniem na ścianę. Albo wtedy, gdy on ją najpierw „pouczył rozumu”, a potem zasnął gdzieś w kącie i chrapał, wydmuchując przez otwarte usta opary wódki i garmazerii czwartej kategorii. Czasem zjawiały się w komendzie, bo czuły, że mogą nie przeżyć kolejnego razu lub gdzieś w telewizji obejrzały program o przemoc domowej i nagle nabrały odwagi, by wydać swojego tyrana.

A potem, potem prawie zawsze było tak samo: odwoływały złożone zeznania, bo on obiecywał poprawę, albo gdy przyjeżdżał patrol, twierdziły, że już się pogodziły z małżonkiem, zresztą po co angażować władzę w domowe sprzeczki, co w rodzinie się dzieje, to w rodzinie zostaje.

Czasem był wariant mieszany, jak teraz. Telefon na policję, bo instynkt samozachowawczy wygrywał z lękiem przed samczym gniewem. To nie była odwaga, tylko ostatekiem sił uruchomiona wola przetrwania. Jednak później, gdy przyszło do rozmowy z funkcjonariuszami, to mimo że wersja wydarzeń została podtrzymana, nie było mowy o oficjalnym zgłoszeniu. Frustracja znalazła ujście w narzekaniu na niewydolny system.

– Wy pojedziecie, a ja tu zostanę. A on, jak wróci, to taki wkurwiony, że miazgę ze mnie zrobi. – Mniej więcej trzydziestoletnia mocno tleniona blondynka odpaliła kolejnego papierosa. Ręce jej latały, z trudem udało się jej przejechać zapalką po drasce.

Stali w kuchni, gdzie dusił zapach gotowanej kapusty. W drugim pokoju huczał telewizor. Wiera zajrzała tam – czworo dzieci, wszystkie w zbliżonym do siebie przedszkolnym i wczesnoszkolnym wieku, oglądało jakąś kreskówkę z konikami pony. Skulone, przytulone do siebie, jak jedno duże ciało z czterema parami chudych rąk i nóg. Spojrzzenia, gdy obróciły się w stronę drzwi, miały jednakowe – ciemne, spłoszone, jak zwierzęta w potrzasku. Ścisnęło ją w żołądku.

– Jeśli nie złoży pani zeznań, nie da nam pani szansy. Sobie też nie. – Komisarz Janusz Kosoń, szef Wiery, powiedział to spokojnie, jakby niewiele go to kosztowało i jeszcze mniej obchodziło. I nawet miał coś na kształt uśmiechu na twarzy. To był jego problem. To znaczy nie jego, tylko osób, które przesłuchiwał. Odbierały go jak wypalonego policjanta tuż przed emeryturą, któremu wisi i powiewa ich los, albo, co gorsza, jak cynika, który klepie standardową formułkę, choć za grosz nie wierzy w to, co mówi. Wiera wiedziała, że ani jedno, ani drugie nie jest prawdą. Początkowo też się dała nabrać na ten styl. Kiedy dwa lata temu zaczynała pracę w policji i przydzielono ją do Kosonia, pomyślała, że fatalnie trafiła. Bo raz, że Giżycko, czyli niedaleko Ornety, od której chciała odjechać daleko i na zawsze, a dwa, że za szefa dali jej kogoś, kogo obchodzi tylko to, żeby zawsze mieć pod ręką papierosa. Podejrzała, że pije, bo zawsze był taki sfilcowany – lekko niedogolony, lekko niedoczesany (zresztą jak się ma takie niby loczki, to jak je czesać?), wymięty. Miał małe oczy i często je przymykał. Nosił polarowe koszule – w dwudziestym pierwszym wieku! Musiał je kupić w czasie transformacji, bo nawet na okolicznych bazarach już takich nie sprzedawali. T-shirty miał niewyprasowane, też archiwalne, z szerokimi ściągaczami i bez domieszki elastanu, więc się rozciągały przy szyi. Był małomówny i rzadko się irytował. Sprawiał wrażenie, jakby żył obok. Potem się dowiedziała, że się tak społecznie i emocjonalnie osunął po śmierci żony. Był wdowcem od

ośmiu lat i zakonserwował się w tym stanie; smutek zamienił na melancholię, miał już pewność, że świata nie uratuje, więc się nie spalał w altruistycznym dążeniu. Nie znaczyło to jednak, że mu nie zależało, o tym Wiera już zdążyła się przekonać. Nią rzucało, gdy widziała, czytała lub słyszała o różnych niegodziwościach, zwłaszcza kiedy cierpiały maltretowane kobiety i ich dzieci. Koson zachowywał spokój. Cóż, dzieliło ich trzydzieści lat, płęć i doświadczenia życiowe. Utratę ukochanej żony i bezdzietną samotność przeżywa się i odreagowuje inaczej niż dzieciństwo z przemocowym ojcem, który chlał i bił matkę, a potem przepadł i nim się okazało, że się utopił, przez trzy lata nie dostawały po nim renty. Nawet to im spieprzył.

Klaudia Moroń, do której tu przyjechali, spojrziała kpiąco najpierw na Kosonia, a potem na Wierę.

– Tu są Biedaszki Małe, a nie Giżycko czy jakieś Warszawy. Tu życie inaczej wygląda. – Zaciągnęła się i wypuściła obłok dymu w stronę Wiery.

Wiera zacisnęła pięści. Już mniej ją obchodziła ta cycata, źle ufarbowana blondynka. Jeśli te sińce jej odpowiadają, chuj z nią. Ale dzieci? Czwórka maluchów, które muszą na to patrzeć i na pewno obrywają rykoszetem. I które powtórzą los rodziców – albo będą łać, albo będą lane. Tu był jeden chłopiec i trzy dziewczynki, więc z pewnością trzy przyszłe ofiary, a może i cztery.

– Przecież sama pani dzwoniła ze zgłoszeniem – powiedziała, z trudem hamując irytację.

– Zgłosiłam, ale się pomyliłam. Pomylić się nie można? – zapytała kpiąco Moroń. – Wy się nigdy nie mylicie?

Wiera wzięła głęboki oddech. Nie da się sprowokować. „Myśl o dzieciach”, rozkazała sobie.

– Tym razem tylko pani oberwała. – Spojrzała na zaczerwieniony policzek blondynki. Dziś mógł uchodzić za rozlany rumieniec, od jutra zacznie ewoluować w fioletowego siniaka. – A co będzie następnym razem? Może któreś dziecko go zdenerwuje? Albo przywali pani tak, że nie będzie czego zbierać, a maluchy wylądują w bidulu.

– Troskliwa nasza władza... Ale na trosce się kończy. Bo potem będzie tak – zbliżyła się do Wiery – że mnie się będą czepiać, czy ja jestem dobra, czy matka odpowiednia, czy się nie łajdaczy, a on dostanie zawiasy, a wcześniej nas wytłucze. Gdybyś znała życie... – To Wiera usłyszała już z bardzo bliska. Miała wrażenie, że kropelki śliny, z którymi to ostatnie zdanie pofrunęło w świat, osiadły na jej gładko spiętych brązowych włosach. Zagotowało się w niej.

– Znam. Lepiej, niż ci się wydaje. – Zrobiła krok do przodu, szturchając Masoń ramieniem.

Poczuła, że ktoś ją dotyka. Kosoń zacisnął dłoń na jej łokciu.

– Interwencja zakończona – powiedział. – Żegnamy się.

Wyszli na podwórko. Wiera ze złością kopnęła plastikową butelkę z niedopitą oranżadą.

„Kurwa”, zakląła w myślach. Poniosło ją, prawie ją poniosło. Jeszcze chwila i uderzyłaby tę blondynę. Zapiekły

ją oczy. Z żalu nad tymi dziećmi. I nad sobą w przeszłości. W ten sposób chciała ukarać swoją matkę i wszystkie inne matki, które się godzą na przemoc. A przecież im się należały pomoc, wsparcie, a zamykać w więzieniu i skutecznie odseparowywać od rodzin trzeba sprawców. Cóż, logika sobie, emocje sobie.

– Przepraszam – mruknęła, gdy wsiedli do radiowozu. – Po prostu mnie wkurzyła.

– A on cię nie wkurza? – Kosoń popatrzył na nią. Wciąż był spokojny. Nigdy mu nie opowiadała o dzieciństwie, to znaczy same ogólniki. Że jest półsierotą, że matka pracowała w pegeerze, kiedy jeszcze pegeery były, a potem się miała różnych prac, z różnym efektem, że ma siostrę, która poszła całkiem inną drogą niż Wiera. O ojcu właściwie nie mówiła, co jednak mówiło o nim samym i łączących ich relacjach całkiem dużo. A Kosoń był bystry.

– Jasne, że wkurza. – Wygładziła dół starannie odprasowanej koszuli. Mimo że było ciepło, miała gęsią skórkę na rękach. – Ale ona mogłaby coś zrobić. Jeśli nie dla siebie, to dla tych dzieci. Przecież to matka! – Znowu się spięła.

– On też by mógł. To ojciec. – Kosoń był niewzruszony.

– Jezu! – wybuchła. – Przecież szef wie, o co mi chodzi.

Zaczęła nerwowo bębnić palcami o plastik obramowania drzwi. Odwróciła wzrok od komisarza, wyglądała przez okno, na podwórko. W drzwiach do domu stanęła jednak ta Moroń, już nie wiadomo, co gorsze. Spojrzała więc w dół, na swoje buty. Schyliła się, niby to poprawić sznurówki, choć

miała je idealnie zawiązane. Od dzieciństwa miała to na-
tręctwo – żeby sznurki wystające z obu dziurek były równej
długości, a siła wiązania w obu butach taka sama. W końcu
się podniosła, bo ile można tkwić z głową między kolanami.

– Dlaczego nie jedziemy? – zapytała.

– Czekam, aż zapniesz pasy.

Kosoń też miał swoje odchyły.

Ruszyli. Jechali wąską asfaltową drogą wysadzaną li-
pami. Mogła nie lubić tych stron, mogła marzyć o stolicy,
mogła chcieć wygumkować Ornetę z dowodu osobistego
i zapomnieć o tym całym syfie, jaki jej towarzyszył w dzie-
ciństwie i wczesnej młodości, ale musiała przyznać, że było
tutaj pięknie.

– *Sorry* – odezwała się w końcu, kiedy miała pewność,
że już ochłonęła. „*Sorry*” przepraszało, ale jednocześnie za-
znaczało luz, jaki miała do tej sprawy. Udawany luz, oczy-
wiście. – To jest po prostu takie... – Zabrakło jej słowa. –
Czcze – powiedziała w końcu.

– Czcze – powtórzył Kosoń. – Już dawno nie słyszałem
tego wyrazu.

Wiera czytała niedawno jakiś kiepski kryminał, w któ-
rym ofiara miała flaki na wierzchu, a patolog precyzyjnie
je opisywał. Informacje były jak wzięte z Wikipedii, ale nie
szkodzi. Dzięki nim przypominała sobie, że jest coś takiego
jak jelito czcze – jedna z trzech części jelita cienkiego, gdzie
odbywa się zasadnicza część trawienia. Jelito czcze zwłok
zwykle jest puste, dowiedziała się. I stąd podobno nazwa.

– Może dopisze jej szczęście i zgarniemy go za coś innego, zanim ją zatłucze. – Kosoń patrzył na drogę. – Nie zbawisz całego świata, zostaw to wykwalifikowanym siłom. – Wykonał delikatny ruch ręką, unosząc dłoń nad kierownicy i podnosząc palec wskazujący w kierunku podsufitki. – Więcej nadziei. Kiedy ktoś ma takie imię, to chyba łatwiej? – Tym razem na chwilę oderwał wzrok od drogi i spojrzał na Wierę.

– A co znaczy szefa imię? – odpowiedziała pytaniem.

– „Bóg jest łaskaw”.

– No to dwa razy kulą w płot. – Wiera wiedziała, że Kosoń, może z racji doświadczeń i zawodu, a może z innych, bardziej złożonych powodów, był religijnie sceptyczny. Ona zaś się miotала; w jej domu rodzinnym nad drzwiami wejściowymi wisiał krzyż, ona i Anka chodziły na religię, zaliczyły wszystkie sakramenty i niedzielne msze, ale potem, od czasów Szczytna, rozluźniła te więzy z Kościołem. Siostra – wręcz przeciwnie. – Nie wierzę w nadzieję, wierzę w czyn – powiedziała. Zabrzmiało patetycznie, ale tak myślała. Kosoń może wyglądał niezachęcająco, ale jego wnętrze było zdecydowanie bardziej wysublimowane niż jego garderoba. – Chciałabym... chciałabym, żeby wreszcie coś się wydarzyło. Jakaś poważna sprawa, której rozwiązanie i wyegzekwowanie sprawiedliwości przesunęłoby ten świat choć o kilka milimetrów w stronę dobra.

– Czyli chciałabyś morderstwa z morałem – podsumował Kosoń.

Dojeżdżali do Giżycka. Za chwilę wejdą na komendę, Wiera spisze notatkę, potem poprzekłada papiery z tych wszystkich nudnych wykroczeń. Później pójdzie do swojego służbowego mieszkania, rzut beretem od pracy. Spore osiedle, gdzie ocieplone styropianem i pomalowane na pastelowy kolor bloki mają ogromne napisy z nazwą ulicy: Kombatantów. Mieszkają tam sami sparowani ludzie, którym Bóg w dzieciach wynagradza, a z okien dolatuje zapach rosółów i schabowych z zasmażaną kapustą, czyli harmonia i ład. Wykorzysta półgodzinną przerwę i zrobi sobie coś do jedzenia, wróci, odsiedzi swoje do końca dyżuru i znowu pójdzie do pustego mieszkania, gdzie będzie prowadzić podobnie zaangażowany emocjonalnie tryb życia.

Kiwnęła głową. Tak, chciałaby poważnego morderstwa, koniecznie z morałem.

– To jest nawet ciekawe. Przewrotnie ciekawe. – Kosoń zaparkował pod komendą. – Morderstwo jako sposób na czynienie dobra.